

*"Początek wynika z końca, a koniec z początku. Pomiędzy powyższymi czai się bolesna przestrzeń do upadku".*

I – Dusi mnie powietrze

W zasadzie nie uciekali, ale kobieta wysiadująca w oknie trzeciego piętra nie nazwałaby ich chodu "spokojnym". Obserwowała, jak wyższy o głowę chłopak szarpie ociągającą się dziewczynę, strzepując popiół ruskiej śmierci wprost na oblodzony chodnik. Sześć pięćdziesiąt za dwadzieścia gwoździ, zapalniczka zaciśnięta w dłoni. Pomalowane paznokcie kołem ratunkowym przeciw zmarszczkom. Lakiery u pani Ewy.

Najlepsze promocje zawsze są w dni powszednie.

Kiedy uciekinierów pożarł w końcu horyzont, uznała, że właśnie tak uciekają manekiny z płonącego sklepu. Dopaliła, pstryknęła Jin Lingiem w dal, lecz nie chcąc wracać wciąż pod nawias świata, pozostała tak przynajmniej głową. Głową ćmiącą od czadu i pękającą od spokoju ducha. Głową o szufladach myśli złupionego domu. Być może wszystko jest. Nic nie możesz znaleźć.

W minusowej temperaturze zamarzały łyzy.

Autystyczny czterolatek leżał obok pada do X-boxa, "plus cztery gry gratis". Na krzywym stole czterdzieści procent niepokoju wypite w połowie i spodeczek petów. W holenderskim łóżku jeszcze jedna śmierć.

Miał kochankę, więc upiła gada, rozebrała do samiutkich gaci i położyła spać. A kiedy usnął – zabiła, rozrzynając bardzo starannie gardło. Matka i babka ze wsi. Prosiak często na święta. Duża wprawa.

Nóż leżał teraz obok Sebastianka. Pudełko od Forzy Horizon w większości pokryły kleksy już krzepnącej krwi. W tle kuchennego aneksu Niemen śnił o Warszawie ostatni raz.

W końcu wyekwipowana jedynie w próżnię, upačkaną halkę i klapki z bazaru, odwróciła wzrok, czując się przez chwilę czymś mniejszym niż całość. Czymś zbyt małym dla dużego lustra, którego głównym zadaniem było zakłamywać wielkość przedpokoju.

Zamknęła okno. Usiadła przy stole. Ręce same odnalazły szkło.

Dwa piętra wyżej ukryty za zasłoną mężczyzna obserwował odjeżdżający samochód Providenta. Wysoko nad nim mroźny wicher porozrywał wszystkie ptaki świata.

II – Irek. Pasażer na wpół-gapę.

Dziewczyna zwracała na siebie uwagę kolorem włosów. Ametystowa odmiana mlecznego kwarcu uderzała po oczach. Zwłaszcza po jego oczach. Miał silną odmianę Trichofilli\*\*, więc poszedł za nią. Chuj, że masa ludzi i gorąc w powietrzu. Poszedł nie pierwszy raz, ufny zębom podwarszawskich bram i temu, że nad zbrodnią z pożądania zawsze czuwa cisza. Miasto dziewięciu zajezdni sprzyja zniknięciom przyjezdnych. Sytuacja nerwowa jak dwulatek w oknie.

Trzy dni później jej rozdęte zwłoki wpół-oddała rzeka. Twarz zmrożonej kory, połamane ręce. Dialogowe dymki wyławiających dziewczynę płetwonurków trzeba było wykropkować z przekleństw.

Złapali go w święto pracy.

Dotąd żył w przeświadczeniu, że w każdej ważnej chwili straty są konieczne, więc kiedy przyszli nie

stawiał oporu. Prawnik oparł linię obrony o trudne dzieciństwo i złą korelację gwiazd. Zrobił to tak nieudolnie, że nawet przez chwilę wszechświat skurczył się ze śmiechu. Gdy pogłos młotka wygasał na sali, skutą mężczyzna poczuł silny zapach przegranego meczu.

Odleżał kwadrans w bezpiecznym układzie krat, informującym, że: Nie wyjdiesz, ale nie wejdą. W zasadzie nie do końca, bo czasem jednak wchodzili. Strażnicy mają rodziny. Rodziny jedzą. Amica Wronki. Kuchenki, piłka, spaceriak.

Trochę mu się po drodze zwariowało. Dwukrotnie udawał żyrandol, ale kamera w celi była sprawna. Kwadrans z dwudziestu pięciu. Wczoraj wyszedł. Z chorą psychicznie głową tak jest, że czasem można otworzyć nowy pokój.

A teraz jechał za nimi tramwajem linii dziewięć. Dwa przystanki od pętli. Dobry układ. Warszawskie bramy oferują loty nie tylko z Okęcia.

— Zrobię, co zrobię — mamrotał pod nosem, miętosząc w dłoniach nieskasowany bilet. — Zrobię, co zrobię, a jutro rozdę się klęskom.

Wysiedli, kiedy już nie było dokąd jechać. Rozogniony wzrok siedzącego z tyłu Irka mógł podpalać stopy. Łażące po nim słońce naświetlało wady, pokazując, że jeśli idzie o myśli, często niedojadał. Para szła szybko, motywując się wzajemnie szyderstwami.

On za nimi. Blisko.

Tuż przed Raszynem rosły krzaczaste pola. Babie lato. Trzydzieści dwa stopnie w cieniu. W ich majestacie uznał, że to ten moment. Dobre miejsce i czas. Wyciągnięty zza pazuchy tłuczek wydawał się narzędziem odpowiednim.

A wtedy para nagle przestała się spieszyć.

Na każdego wariata tylko jedna głowa. Jedyna dobra decyzja Pana Boga. Odwrócili się. Tym razem kwiatów we włosach nie potargał wiatr.

### III – Strzelnica na dachu

Niebo opędzało się błyskami od najazdu chmur, zaś werble grzmotów pobrzmiwały w echu. Zacinający nieustannie deszcz redukował tempa samochodów i ponaglał przechodniów.

Stary człowiek, którego czeluści pamięci potrafiły przestrzelić stulecia, stał na dachu. Miał cudne serce, rzutną rękę i spodnie Reeboka. Wciąż potrafił wypić na trzy łyki flaszkę i pamiętał oczy biesiadników wzniesione znad barszczu, kiedy kiedyś...

Ale teraz płakał.

— Kiedy skoczę, zdmuchnij — poprosił kobietę. Następnie spojrzał w dół, ściągnął kurtkę, podszedł. Dwanaście pięter do ziemi. Amarantowa miazga. Kamikaze spadających jabłek.

— Twoja żona umarła sześć lat temu.

Spojrzał. Dwie osoby. Dwie płcie. Adam, Ewa i noc.

Nim zdążył powiedzieć "Nie", chłopak powiedział "Tak".

— Jesteście Nim? — spytał. I zanim którekolwiek coś odrzekło, dodał: — Bo jeśli tak, jeśli jesteście lub znacie, chciałbym o coś zapytać.

— Nie jesteśmy — odparła cicho dziewczyna. — Nie jesteśmy Nim.

— Jeśli zamierzacie mnie powstrzymać...

Chłopak pokręcił głową.

— Przeciwnie, Waldemarze. Jesteśmy tu, by ci pomóc.

— Wiemy, że czasem łatwiej odbezpieczyć granat, niż obejrzeć ponownie album starych zdjęć. Na prawdę.

Mieli kojące głosy i niedające się zapamiętać twarze. Przetarł oczy. Chłopak wyższy. Oboje o ciemnych włosach, pustych oczach i martwych naturach. Księżycowy odłamek oświetlał im dłonie, ale tylko je.

— A wiecie, że...

— Wiemy.

— I...

— Też.

Pokręcił głową. Jego ironicznie bezbronne "Nie wierzę" umarło natychmiast po opuszczeniu ust, rozszarpane harmidrem nocnego życia stolicy. Pogłos i Pustka rozdzielili się nawiasowym wzorem, jakby próbowali go osaczyć. Jeden mały krok.

Równocześnie.

— Wiemy, że gdybyś tylko umiał cofnąć czas... — rozpoczął chłopak.

— ... to miałbyś sobie do powiedzenia wszystkie słowa świata — dokończyła jego martwa koleżanka.

Waldemar Barańczyk się cofnął. Kolejny krok.

— I że nie umiesz już słuchać płyty spoza listy.

— I że groby dzieciństwa są w całodobowym.

Cofnął się. Wykonali krok.

— I że się boisz.

— I że masz dość.

Cofnął. Krok.

— I że...

— I że...

Cof... Kro...

Ściana. Plecy oparte o przestrzeń do upadku. Demony głębin walczyły. Oczekiwały.

Podeszli tak, że bliżej podejść nie sposób. Spojrzał w dół. Jeśli prawdą jest, że im wyżej, tym bliżej, to im dalej, tym mniej, co nie?

— Teraz powinna nastąpić puenta — stwierdził Pogłos.

— Ale prawda jest taka, że jej nie ma — dopowiedziała Pustka.

Spojrzał na nich błagalnie. Już nie chciał, nie mógł, nie pragnął. Został zaspokojony. Oczyszczenie jest w celebracji, nie w akcji.

— Prosto w środek tarczy — oznajmili radośnie jednym głosem.

Już w powietrzu zrozumiał, że nie każdy deszcz pochodzi od Boga. Noc przecięło echo krzyku miasta.

\* – Rewerberacja – zjawisko stopniowego zanikania energii dźwięku po ucichnięciu źródła. Inaczej "Pogłos".

\*\* – Trichofilia – Fetyszizm seksualny dotyczący włosów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Canulas, dodano 28.02.2019 11:27

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).